

The background of the entire image is a dense, textured field of blue, translucent glass shards and fragments, resembling broken glass or crushed crystals. Scattered throughout this field are numerous small, bright red dots, which appear to be tiny particles or imperfections in the glass. The overall color palette is dominated by various shades of blue, from deep navy to bright cyan, with the red dots providing a sharp contrast.

WOJCIECH
CHMIELARZ
WYRWA

MARGINESY



Po raz pierwszy dotarło do mnie, że Janina naprawdę odeszła, w chwili, kiedy stanąłem przed bramą przedszkola i zastanawiałem się, jak powiedzieć córce, że jej mama nie żyje. Wcześniej, i wiem, że zabrzmiałoby to banalnie, wszystko to zdawało mi się cholernie nierzeczywiste. Ale za kilka minut miałem stanąć przed moją małą dziewczynką i wypowiedzieć słowa, które na zawsze zmienią jej życie. Wiedziałem, co się stanie. Wiedziałem, że wybuchnie płaczem. Wiedziałem, że będzie płakać przez wiele dni, przez wiele nocy. Że jej poczucie bezpieczeństwa, wiara w ten świat, w to, że to jest dobre miejsce, gdzie mieszkają dobrzy ludzie i nikomu nie może stać się NAPRAWDĘ nic złego, zostanie bezpowrotnie zniszczona. Że będzie potrzebować miesięcy, może lat, by dojść do siebie. Uporać się z traumą. Nauczyć się żyć ze strachem o najbliższych. Za kilka chwil miałem odebrać jej dzieciństwo. Pomyślałem wtedy, że nie ma nic bardziej rzeczywistego, i zrobiło mi się niedobrze.

Oparłem się o bramę przedszkola. Ogrodzenie było zielone, stare i powyginane, wielokrotnie je odmalowywano. Gdzeniegdzie farba odchodziła, a wtedy ukazywały się, jedna pod drugą, upakowane ciasno kolejne jej warstwy. Zaciskałem dłonie na prętach, kurz, który na nich osiadł, brudził mankiety białej koszuli. W czoło wbijały mi się tępe metalowe groty ozdabiające bramę na górze.

Myślałem o tym, że dzieci nie powinny umierać przed rodzicami, a rodzice nie powinni umierać wtedy, kiedy dzieci są dziećmi. To jest po prostu niesprawiedliwe. Rodzice powinni widzieć, jak ich córki, synowie rosną, zmieniają się w nastolatki, jak pojawiają się im włosy na nogach, pod pachami, wokół genitaliów, jak wstydzą się oznak dorastania – budzących się piersi, zmieniającego barwę głosu, jak zakochują się po raz pierwszy, drugi, trzeci, jak przeżywają kolejne rozczarowania i porażki, zdają na studia albo z nich wylatują, układają sobie życie, zdobywają żonę, męża, jak rodzą im się ich własne dzieci i wszystko się powtarza. A dzieci powinny oglądać przez lata swoich rodziców. Obserwować, jak się zmieniają, jak we włosach pojawiają im się kolejne pasma siwizny, skóra zaczyna obwisać i pokrywać się zmarszczkami, z początku drobnymi, ledwo zauważalnymi, potem coraz głębszymi. Powinni wziąć udział w tym procesie, kiedy rodzice przestają być jedynym autorytetem, kimś, kto tłumaczy świat, i zmieniają się w przeciwnika, kogoś, kto częściej karze i wymaga, niż pomaga, a miłość do nich coraz częściej ustępuje niechęci, a potem nawet nienawiści, żeby wreszcie po latach powrócić wraz ze zrozumieniem – silniejsza, ale i spokojniejsza niż kiedykolwiek.

Odebrano im to.

Rodzice powinni umierać późno. Wtedy, kiedy są już starzy. Wtedy, kiedy wszyscy są już na to gotowi. Spokojnie. A ich odejście powinno być zapowiedziane setkami znaków: drobnymi urazami, przewlekłymi chorobami, wcześniejszymi zawałami, diagnozami lekarskimi, wizytami na drugim krańcu Polski u specjalistów z profesorskim tytułem i stosem lekarstw na wszelkie możliwe dolegliwości w plastikowym koszyczku w pachnącej zwietrzałym lakierem szufladzie.

Nie gwałtownie. Nie wtedy, kiedy nikt się tego nie spodziewa. Nie w momencie, gdy ich odejście oznajmia lekko przejęty obcy głos w słuchawce aparatu.

Kobieta, trzydziestolatka w piaskowym płaszczu i granatowej sukience odsłaniającej podrapane kolana, wyszła z przedszkola. Prowadziła chłopczyka o gęstych kręconych włosach i w za dużej kurtce, pewnie po starszym rodzeństwie, który przyciskał do pierśi wściekle żółtą koparkę. Obrzuciła mnie zaniepokojonym spojrzeniem, chwyciła synka za dłoń, przyciągnęła do siebie, a potem minęli mnie szybkim krokiem.

Zatrzymali się po około dwóch metrach. Kobieta nachyliła się do synka, szepnęła mu coś do ucha, po czym wróciła do mnie. Dotknęła nieśmiało mojego ramienia. Cały zeszywniałem, jakby nagle przestała we mnie krążyć krew.

– Przepraszam, czy pan jest tatą Iwonki? – zapytała z troską.

Pociągnąłem nosem i przetrąłem wierzchem dłoni oczy. Wyprostowałem się i obróciłem, mając nadzieję, że wyglądam w miarę przyzwoicie. Chłopiec bawił się koparką, imitując cichutko odgłosy pracującego silnika.

– Tak – odpowiedziałem głucho.

– Chodzimy do jednej grupy. To znaczy mój Pawełek chodzi z Iwonką do jednej grupy. Do Wesołych Skoczków.

Skupiłem wzrok na chłopczyku. Klęczał teraz i pakował mokre po niedawnym deszczu patyczki do łyżki koparki. Przewoził je kilkadziesiąt centymetrów, a potem wyrzucał jednym energicznym ruchem. Faktycznie, kojarzyłem go. Kilka razy widziałem, jak bawił się z innymi dziećmi drewnianymi klockami. Budowali jak najwyższą wieżę, żeby potem zniszczyć ją z głośnym śmiechem. Jego ojciec był barczystym mężczyzną o równie bujnej jak u syna czuprynie i ramionach pokrytych tatuażami. Pracował jako budowlaniec. Kiedyś, czekając w szatni, aż jego dziecko włoży buty, opowiadał innemu ojcu o Ukraińcach, z którymi teraz pracuje. „Zabierają nam pracę” – rzucił ten drugi, ale bez gniewu, raczej żartobliwie. „No co ty. Naszych to, kurwa, nie ma. Wszyscy wyjechali w euro zarabiać. Gdyby nie te skurwysyny,

tobyśmy w tym kraju nic nie wybudowali” – odpowiedział budowlaniec. Jedna z matek spojrzała na niego oburzona i wskazała na maluchy. Budowlaniec machnął ręką, jakby nic się nie stało, ale jednak potem uśmiechnął się przepraszająco. Stałem wtedy niedaleko i poczułem coś na kształt wyrzutów sumienia. Żałowałem, że to nie ja zwróciłem mu uwagę, by nie przeklinał przy dzieciach. Nie dlatego, że jakoś szczególnie mi to przeszkadzało. Po całym dniu w pracy ze zgiętym karkiem i wpatrywaniu się w excelowe tabelki byłem zubożniały i zmęczony. Ale przeczuwałem, że Iwonka powtórzy jedno z zasłyszanych słów w domu, a wtedy Janina spyta, skąd ona je zna, i będę musiał opowiedzieć o ojcu Pawełka, a wtedy Janina zapyta, co zrobiłem, kiedy zaczął przeklinać, i będę musiał przyznać, że nic, a wtedy ona spojrzy na mnie rozczarowana i rozżalona, jakbym nie wiadomo jak ją zawiódł.

Potrząsnąłem głową, bo poczułem, że odpływam. Nie wiedziałem, dlaczego właśnie teraz zaatakowało mnie to wspomnienie. Wydało mi się to nawet zabawne, jednak zamiast się uśmiechnąć, zamknąłem oczy, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Co się stało? – zapytała kobieta.

– Moja żona nie żyje – odpowiedziałem.

Nie zamierzałem jej tego mówić, ale słowa, te słowa same wyleciały mi z ust. Jakby już tam siedziały i tylko czekały na okazję do ucieczki.

– Nie żyje?

– Nie żyje.

– Mój Boże... – Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, w których już zaczynały zbierać się łzy. Przejęła się, choć Janina nie była kimś jej bliskim, tylko matką dziecka z tej samej przedszkolnej grupy.

– Proszę nie mówić o tym Iwonce. Ja muszę sam...

– Tak. Oczywiście.

Oprócz żalu dojrzałem w jej spojrzeniu rodzącą się ciekawość. Wahala się, czy zadać kolejne pytanie. Wiedziała, że to niestosowne, jednak pokusa okazała się zbyt silna.

– Co się stało?

Przełknąłem z trudem ślinę, a w piersi poczułem wielki, ołowiany wręcz ciężar.

– Wypadek samochodowy – wyrzuciłem z siebie szeptem.

– Tak mi przykro.

– Dziękuję.

Przechyliła lekko głowę i zapadła między nami długa, niezręczna cisza. Wyglądało na to, że zastanawia się, co może jeszcze dodać, ale nie potrafiła na nic wpaść. Przeszępowała z nogi na nogę, coraz bardziej speszona, i chyba już zaczynała żałować, że w ogóle podjęła tę rozmowę. Normalnie bym jej współczuł albo sam szukał okazji, żeby zakończyć to spotkanie, jednak teraz było mi to obojętne. Janina, Janka nie żyła, a ja musiałem powiedzieć o tym naszym dzieciom. Tylko to się liczyło. Nic więcej.

– Muszę już iść – odezwała się kobieta. – Pawełek...

– Niech pani idzie – odpowiedziałem. – Niech pani nie mówi Iwonce. Ani nikomu innemu.

– Nie powiem – obiecała.

– Niech pani nie mówi.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie. Podeszła do syna. Poprosiła go, żeby wstał z ziemi. Chłopak zaprotestował, bo właśnie udało mu się zapełnić łyżkę koparki drobnymi kamieniami, które zamierzał wysypać na znajdującą się nieopodal kupkę patyków. Kobieta pozwoliła mu więc dokończyć zabawę, co chwila nerwowo zerkając w moją stronę, a potem chwyciła go za przegub małej dłoni i odeszli pośpiesznie.

Patrzyłem za nimi, aż zniknęli za najbliższym zakrętem. Nie było w tym ani natarczywości, ani ciekawości. Po prostu odwlekałem to, co nieuniknione.

Odetchnąłem. Zerknąłem na swoje dłonie. Lepiły się od brudu i potu. Wytarłem je w chusteczkę. Potem wyjąłem komórkę, włączyłem aparat i tryb do robienia selfie. Przejrzałem się w ekranie jak w lusterku. Na twarzy, na czole i w okolicach oczu, w miejscach, gdzie przed chwilą się masowałem, żeby pozbyć się tego straszego, tępego ucisku, który zdawał się miażdżyć mi czaszkę, dostrzegłem szare smugi. Wziąłem kolejną chusteczkę i doprowadziłem się do porządku.

Począpałem w stronę wejścia do przedszkola. Zostało mi jeszcze z dziesięć, może piętnaście metrów, ta krótka droga ciągnęła się jak całe kilometry.

Przy drzwiach musiałem nacisnąć przycisk domofonu. Zawahałem się, przypatrywałem się z ciekawością swojemu palcowi, bo ten drżał tak, jakbym właśnie wychodził z ciężkiej delirki. Ale w końcu nacisnąłem to, co trzeba.

– Słucham. – Z głośnika odezwał się damski głos.

– Maciej Tomski – przedstawiłem się. – Przyszedłem po córkę.

Wpuścili mnie do środka. Panował tam przyjemny chłód. Wnętrze było kolorowe, niedawno odnowione. Na ścianach widniały różne zwierzątka: misie, pszczołki, zajączki. Wszystkie uśmiechnięte, żyjące w zgodzie i harmonii. Pomyślałem sobie, że chciałbym teraz zobaczyć tutaj jelonka Bambi. Albo małego Simbę. Albo z niezawierających bohaterów Elżę i Annę, syrenkę Arielkę lub Bellę. Kogokolwiek, kogo mógłbym pokazać córce i powiedzieć, popatrz, oni też wychowali się bez mamy i wszystko dobrze się skończyło. Jednak na ścianie nie namalowano nikogo, kto mógłby przynieść mojej córce pociechę.

Nad drzwiami sali Wesółych Skoczków znajdowała się drewniana figurka zielonego konika polnego w kapeluszu. Przypominał trochę tego z disnejowskiego *Pinokia* (Pinokio! Kolejna postać, która wychowała się bez matki). Zapukałem, jednak chyba nikt

mnie nie usłyszał. Nacisnąłem więc klamkę i wszedłem do środka. Dzieciaki akurat miały czas wolny. Część rysowała coś przy stolikach, inne po prostu bawiły się na podłodze. Wychowawczyni siedziała przy biurku, uzupełniała dziennik. Na mój widok się uśmiechnęła.

– Pan po Iwonkę?

– Tak – powiedziałem przez ściśnięte gardło.

– Zaraz ją zawołam.

– Nie trzeba. – Powstrzymałem ją.

Zacząłem szukać wzrokiem córki, ale to ona zauważyła mnie pierwsza i uśmiechnęła się szeroko. Iwona miała cztery lata. Wszyscy zawsze powtarzali, że jest podobna do mnie, choć ja, patrząc na nią, widziałem tylko jej matkę. Te same oczy, ten sam lekko zadarty nos i te same piegi na jego czubku i policzkach. Zrobiło mi się słabo. Oparłem się o framugę. Iwona biegła do mnie radośnie, więc wyciągnąłem w jej stronę dłoń, żeby przybiła mi piątkę. Zrobiła to z rozpędu, z całej siły. Rozległo się głośne plaśnięcie. Pomachałem ręką, udając, że zabołało.

– Uff... Jak mocno... – wydusiłem z siebie.

Mój głos brzmiał tak słabo i cicho, że sam go ledwo usłyszałem. Przełknąłem ślinę, żeby trochę zwilżyć gardło.

– Zbieraj swoje rzeczy – powiedziałem już głośniejszym głosem. – Przyniosłaś jakieś zabawki?

Pokiwała głową. Podreptała do leżącego nieopodal pudła i wyjęła z niego niewielkiego wełnianego misia. To była jej ulubiona maskotka. Przynajmniej przez dłuższy czas, bo jak to u dziecka, gusta mojej córki się zmieniały. Raz nie mogła żyć bez tandetnego króliczka kupionego na wakacjach we Włoszech, innym razem bez domagającej się nieustannie mleczka i opieki lalki – prezentu na trzecie urodziny. Jednak wełniany miś zawsze wracał. Robiło mi się miło, ilekroć go widziałem. Była to pierwsza zabawka, którą jej dałem. Czekala w łóżeczku, kiedy przywieźliśmy ją ze szpitala.

– A właśnie, à propos – odezwała się wychowawczyni. – Dzisiaj nie jest dzień przynoszenia zabawek. Bardzo proszę, żeby tego przestrzegać.

– Tak, oczywiście. Ale to wyjątkowa sytuacja – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie wyczekująco, spodziewając się pewnie, że rozwinę temat. I przez moment odczułem pokusę, żeby faktycznie to zrobić. Chciałem zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy dowie się, co się stało. Zamiast tego jednak wybąkałem tylko krótkie „Przepraszam” i wyprowadziłem córkę z sali.

Usadziłem ją na ławce w szatni. Poprosiłem, żeby włożyła buty i zdjąłem jej bluzę z wieszaka.

– Gdzie masz kurtkę? – zapytałem, rozglądając się dookoła.

– Kurtkę?

– Miałaś kurtkę, gdy cię odwoziłem do ciotki. Gdzie jest?

Iwona przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, równocześnie siłując się z lewym butem.

– Ciocia nie dawała mi żadnej kurtki.

Renata pewnie o niej zapomniała i teraz leży u niej w mieszkaniu. Kiedyś ją odbierzemy. W sumie na dworze zrobiło się dość ciepło.

Iwona skończyła walkę z butami i zapięła rzepy. Potem podniosła główkę i zmarszczyła brwi, myśląc nad czymś intensywnie.

– A to nie mamusia mnie dzisiaj odbiera?

Na chwilę stanęło mi serce. Gorączkowo próbowałem sobie przypomnieć, co mówiłem poprzedniego wieczoru, ale nie potrafiłem. Poczułem się tak, jakby moja piękna czteroletnia córeczka właśnie dźgnęła mnie lodowatym szpikulcem.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Mama... – Urwałem. Nie wiedziałem, jak dokończyć.

– Wróciła już z delegacji? – zapytała Iwonka.

A potem wszystko wydarzyło się już samo. Pokręciłem głową.

– Nie. Nie wróciła – powiedziałem.

– Miała wrócić.

– Miała – potwierdziłem. – Ale... Ale musiała jeszcze zostać.

– Na delegacji?

– Tak. Musiała jeszcze zostać na delegacji.

W jej oczach odbił się cień smutku. Znowu mnie ścisnęło. Dłonie zaczęły mi drżeć. Schowałem je za plecami, żeby Iwona niczego nie zauważyła.

– A kiedy wróci?

Nie oszalałem. Wiedziałem, że nie mogę jej okłamywać. Przynajmniej nie cały czas. Prędzej czy później przecież dowie się prawdy. Mogłem jednak podarować jej jeszcze jeden dzień dzieciństwa.

– Jutro – odparłem. – Mama wróci jutro.

Iwona uśmiechnęła się szeroko. Radośnie. Najpiękniej na świecie. Patrzyłem na nią i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zbiorę się na odwagę, by powiedzieć mojej córce, że zabiłem jej matkę.

**Nowy thriller psychologiczny
Wojciecha Chmielarza,
autora znakomicie przyjętej Rany
i zekranizowanego przez Canal+ Żmijowiska.**

Kiedy Maciej dowiaduje się, że jego żona Janina zginęła w wypadku samochodowym, myśli, że wali mu się cały świat. Jak powiedzieć dwóm córeczkom, że właśnie straciły matkę? Co powiedzieć teściom?

Nie ma jednak pojęcia, dlaczego do wypadku doszło pod Mrągowem, skoro Janina powiedziała mu, że jedzie na delegację pod Kraków... A gdy na pogrzebie pojawia się tajemniczy mężczyzna, Maciej zaczyna rozumieć, że Janina miała wiele sekretów. Znacznie więcej, niż można się spodziewać po kimś tak zagonionym i zapracowanym.

Pytania zaczynają się mnożyć, a tragedia zmienia w skomplikowaną zagadkę. Maciej jedzie na Mazury i wkrótce przekonuje się, że być może tak naprawdę nie znał kobiety, z którą spędził ostatnich dwanaście lat życia.

Wyrwa to opowieść o poczuciu straty i rozpaczliwej zmieniającej się w gniew, który szuka ujścia. To także historia splątanych uczuć, trudnej przyjaźni i konsekwencji życiowych błędów.

cena 39,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

w sprzedaży także



lubimyczytać.pl

PORTAL
KRYMINALNY



CZYTAMY
KRYMINALY.PL

POCISK
MAGAZYN O STRASZĄCYM KRYMINALE

